MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Rok V. Warszawa, 13 Czerwca 1925 r. № 24.

TREŚĆ NUMERU: Front antymasoński. — Otwórzmy oczy. *Jan Zamorski.* — Żyd korespondent. *k. n.* Już ani jednego żyda.—Tchórzliwa deklaracja. *j. r.*— Koncert w Paryżu.—Zżydziała kandydatka na Muzę. *St. Janicki.* — Rytuały i organizacje masońskie *Asper*.



Cena numeru 25 groszy.

„Nie ulega wątpliwości, iż najzazdrośniej strzeżone instytucje Państwa, te, które wymierzają sprawiedliwość, które wychowują nowe pokolenia i te, co stanowią siłę zbrojną, która każdej chwili musi być gotowa do obrony Ojczyzny, uległy i ulegają kolejno wpływowi masonerji. Z tem zgodzić się niepodobna. To się skończyć musi".

BENITO MUSSOLINI

(z przemówienia podczas dyskusji nad ustawą przeciwko tajnym stowarzyszeniom).

FRONT ANTYMASOŃSKI.

Czytelnicy „Myśli Narodowej“ znajdą w niej, od obecnego numeru począwszy, nowy dział, pod ogólnym tytułem „Front antymasoński“, poświęcony specjalnie zagadnieniu masonerji oraz związanych z nią pośrednio lub bezpośrednio ugrupowań. Zagadnienie to, niewątpliwie ważne i ciekawe, wstydliwie jest przez większość prasy polskiej przemilczane. Tem widoczniejszy jest obowiązek prasy niezależnej zajęcia się niem i zajęcia wobec niego stanowiska.

Wprawdzie opinja polska, trafnym instynktem wiedziona, zajmuje naogół wobec organizacji masońskiej stanowisko właściwe. Z nieufnością traktuje organizacje zakonspirowane, o celach niejasnych i ukrytych, surowo ocenia poddawanie się międzynarodowej hierarchji i międzynarodowym dyrektywom. Jesteśmy krajem, gdzie masoni ukrywają swą przynależność nietylko ze względu na zasadniczą tajność organizacji, ale więcej jeszcze—z obawy o własną opinję. Przynależność do masonerji może być w Polsce, jak wszędzie, ułatwieniem w „zrobieniu karjery“, ale nie jest — to rzecz niewątpliwa—tytułem do zdobycia w opinji sympatji, szacunku i zaufania.

Mniej już może odporne są pewne koła na to, co Benedetto Croce określił jako „umysłowość masońską“, mętną, liberalno-pacyficzną frazeologję, stawiającą wyżej dowolności pełne „prawa człowieka“ niż realne interesy narodu. Ale i tu zmysł rzeczywistości potrafi przeciwstawić się zwycięsko frazesowi, tem więcej, iż warunki polityczne i ogólne położenie Polski sprawiają, że bardziej, niż gdziekolwiek, widoczne jest u nas natychmiast, jak dalece upodobania „umysłowości masońskiej“ dogodne są dla wewnętrznych i zewnętrznych naszych wrogów.

Mimo to masonerja odgrywa w Polsce większą role, niżby się przy takiem stanowisku opinji można spodziewać. Wynika to z powszechnej ignorancji w tej dziedzinie, zarówno co się tyczy stosunków w kraju, jak zagranicą, ignorancji stojącej na przeszkodzie podjęciu jakiejkolwiek szerszej, planowej akcji przeciwko organizacji masońskiej.

W szerokich kołach pospolite są w ocenie masonerji dwa błędy, oba w skutkach bardzo szkodliwe i niebezpieczne. Jedni nie doceniają roli masonerji w życiu politycznem i społecznem, gotowi są uważać ją niemal za coś nieistniejącego, za fantazję, wytwór podnieconej wyobraźni. Nie trzeba dodawać, jak tego rodzaju opinja dogodna jest dla akcji konspiracji, pragnącej nieznacznie, z ukrycia kierować biegiem wydarzeń. Inni znów, orjentujący się na tyle, iż dostrzegają działalność „tajemniczej ręki“ wśród pozornie nieskoordynowanych wydarzeń, łatwo bardzo wpadają w drugą ostateczność, przeceniają masonerję i jej wpływy, urasta ona w ich

oczach do rozmiarów jakiejś fantastycznej potęgi, wedle swej woli kierującej losami państw i narodów. I ta opinja również jest dla masonerji bardzo wygodna: szerzy postrach i zniechęcenie wśród jej wrogów, odbiera im wiarę we własne siły, nie pozwala dostrzec i ocenić głęgokich przyczyn jej słabości i błędów.

Przedewszystkiem więc należy znać prawdziwy stan rzeczy. Skradający się nocą do domu gość nieproszony, w świetle dnia nie wyda się ani cieniem przelotnym bez znaczenia, ani groźnem widmem, ścinającem krew w żyłach z przestrachu. Każdy będzie wiedział, kim jest i jak się wobec niego zachować.

„Myśl Narodowa", ze swej strony, pragnie w miarę możności do tej pracy ujawniania „tajnych związków" się przyczynić. Z natury rzeczy dość chaotycznie podawane informacje, zarówno z dziedziny historycznej jak i z chwili bieżącej, z biegiem czasu dopomogą może do wytworzenia w sprawie „obozu tajnych celów" poglądów dokładniejszych i bliższych rzeczywistości.

OTWÓRZMY OCZY.

Pieniędzy brakuje. Pieniądz, jako towar, ma tak wygórowaną cenę, że najniższe, urzędowe oprocentowanie możnaby wedle ustaw przedwojennych zakwalifikować, jako lichwę. A cóż mówić o oprocentowaniu w bankach i banczkach prywatnych lub u wekslarzy! Jest to przyśpieszony wyścig do bankructwa.

Zdawałoby się, że ten pieniądz tak rzadki, tak poszukiwany i tak drogi, jako towar, mieć będzie wzmożoną siłę kupna, czyli że ceny na wszystkie inne towary będą nizkie. Takby być powinno. A jest wręcz przeciwnie, drożyzna w Polsce może się mierzyć tylko z drożyzną amerykańską i to nie we wszystkich kierunkach.

Jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy jest brak kredytu zagranicznego. I to zjawisko jest znowu zdumiewające. Państwa, cierpiące na nadmiar pieniędzy, jak Stany Zjednoczone, Holandja, Szwajcarja i t. d. powinnyby dać się znęcić tak wysokiem oprocentowaniem, jakie w Polsce obowiązuje i powinnyby we własnym interesie zasypać Polskę pieniędzmi. Tymczasem tak nie jest. Bogacze świata szukają lokaty dla swoich pieniędzy wszędzie, byleby nie w Polsce.

Kto zna bardzo pospolite, oklepane, rozumiane przez każdego pracującego człowieka, a niewzruszone i nieodmienne prawa życia gospodarczego, nie dziwi się temu omijaniu Polski przez obcy kapitał. W Polsce niema bezpieczeństwa prawnego, o którem podpisany tyle razy już mówił na łamach „Myśli Narodowej". Ale mówił na darmo. Prywatnie wszyscy przyznają słuszność, boleją nad tym stanem rzeczy,

ale publicznie ministrowie i posłowie nie mają odwagi przyłożyć siekiery do korzenia, stopniowo przywracać krajowi bezpieczeństwo prawne.

Na czem bowiem ma się zabezpieczyć kapitał, który nie ryzykuje? Na własności ziemskiej nie, bo nad tą zawieszono ustawową groźbę wywłaszczenia na rzecz oszustwa, które nazwano dla niepoznaki reformą rolną. Daremnie ziemianie zgłaszają chęć sprzedaży majątków: rząd przejmuje zaledwie cząstkę nieznaczną ziemi zaofiarowanej, a innym oferentom każe czekać. Niecierpliwsi obszarnicy zabrali się do parcelowania na własną rękę, to urzędy ziemskie zabraniają, czynią trudności, odmawiają legalizowania dokonanych parcelacyj. Widocznie nie chodzi w tem, co się u nas eufemicznie nazywa reformą rolną, o zdrowe powiększenie parcel chłopskich i o pomnożenie liczby gospodarstw włościańskich, tylko o to, ażeby stan niepewności prawnej rozciągnąć na jak najdłuższe lata. Kto jest zwolennikiem reformy rolnej, albo kto przynajmniej pragnie, żeby obszary dworskie zniknęły jak najprędzej, ten dzisiaj powinien starać się o jak najrychlejsze skasowanie Ministerstwa reform rolnych wraz z urzędami ziemskiemi, jako też o unieważnienie wszystkich ustaw o reformie rolnej i o regulowaniu obrotu ziemią. Bez tych przeszkód reforma rolna, czy likwidacja obszarów dworskich dokonałaby się do jakich lat pięciu. Ministerstwo reform rolnych wraz z urzędami ziemskiemi można w tym stanie sprawy nazwać ministerstwem udaremniania reformy rolnej. Jedynym prawdziwym skutkiem istnienia tego urzędu i stosownych ustaw jest wstrząśnienie bezpieczeństwa prawnego, prawa własności, a co za tem idzie, także i możności trwałego i pewnego ubezpieczenia obcych pretensyj.

Nie da się też obcy kapitał ubezpieczyć na realnościach miejskich, dopóki trwa ustawa o ochronie lokatorów, oraz zachcianki do ograniczenia prawa własności, rozporządzalności i swobody w wykonywaniu posiadania.

Tem mniej nadają się do tego celu objekty fabryczne. Nasz przemysł, znarowiony przez inflację, ścigany przez biurokratów, przed którymi broni się tylko korupcją polityczną czy nawet pospolitą, nie umiał zagnieździć się nawet na własnym, polskim rynku, a cóż mówić o nawiązaniu stosunków z zagranicą i o zdobyciu rynków obcych na stałe. To też przemysł nasz dusi się i wegetuje z dnia na dzień, starając się wychwytywać mniejsze lub większe zarobki na dziś, bo o jutrze nikt nie myśli. Połowa warsztatów przemysłowych jest dzisiaj zachwiana.

Przyczynia się do tego tak ogólne światowe położenie, jak i nasze własne krótkowidztwo. Dziś bowiem wszystkie państwa popierają własny przemysł i rozwijają go, aby nadmiar produkcji wywozić, a wskutek tego przestają być rynkiem zbytu dla obcych towarów. Jest to przesilenie jeżeli

nie wszechświatowe, to przynajmniej europejskie. W Polsce zaś powiększa to przesilenie najtępsza na świecie ustawa o ochronie pracy, jak świętość w każdym szczególe przez sekciarzy broniona. To też fabryka, wystawiona przez wierzyciela na licytację, nie mogłaby liczyć na nabywcę, skutkiem czego żaden kapitalista nie chce zostać wierzycielem, zabezpieczającym swój pieniądz na objekcie fabrycznym.

To są materjalne przyczyny omijania Polski przez obcy kapitał. A są i moralne. Jest to brak zaufania do naszej rządności, solidności i do naszej gospodarki finansowej. Przeprowadziliśmy, co prawda, sanację pieniądza, ale zabagniamy skarb. Cieszymy się uchwalonym budżetem, zapominając o tem, że w pozornej, zewnętrznej jego równowadze mieści się zamaskowany deficyt pół miliardowy i że ten deficyt może jeszcze wzrosnąć przez niedopisanie wpływów z wielu danin publicznych.

Jest to wynik naszego, polskiego patrzenia na skarb państwa, jako na coś, co leży po za społeczeństwem, jako na obce, nie nasze własne źródło pieniędzy, z których wolno i powinno się drzeć jak najwięcej dla siebie. Dlatego stowarzyszenia, organizacje, gminy, powiaty, zawody i t. d. żądają ciągłych świadczeń z kasy państwowej, a posłowie popierają te żądania i starają się o powiększenie pozycyj wydatkowych w budżecie. Związek ludowo-narodowy, uważający—i słusznie — sanację pieniądza za swoje własne dzieło (przygotował ją bowiem tak, że po upadku rządu większości narodowej, p. Grabski tylko wykonał resztę rozpoczętej pracy) starał się na komisji nie dopuszczać do rozdymania strony wydatkowej budżetu i głosował zwarcie przeciw wszystkim, choćby najpopularniejszym, wnioskom o zwiększenie wydatków. Ale spotkał się z niezrozumieniem, a często z drwinami nowego rządu (jak to było przy ministerstwie oświaty) i dał spokój bezcelowej donkiszoterji. Dziś budżet w wydatkach jest półtrzecia raza wyższy od preliminarza Kucharskiego i w sferach skarbowych zaczyna się już popłoch.

Nie wiem, jak się zachowa dyrekcja Banku Polskiego w przyszłości. Dotychczas broni parytetu złotego wszystkiemi siłami i jeżeli wytrwa, utrzyma kurs nsszego złotego.

Ale jaki to będzie kurs? Będzie to utrzymanie kursu fundowanych banknotów od pięciozłotowego w górę. Moneta zdawkowa, a więc bilon niklowy, bronzowy i srebrny, tudzież banknoty jedno i dwuzłotowe nie są fundowane, nie są pieniądzem Banku Polskiego, tylko pieniądzem rządowym. Tymczasem krótkowzroczna polityka budżetowa i skarbowa rządu podwyższa ilość bilonu w obiegu, bijąc ciągle nowe monety z metalu i łatając w ten sposób niedobory kasowe. Jest to zatem początek inflacji w monecie zdawkowej.

Jeżeli rząd zdecydowałby się iść dalej niebacznie po tej drodze, to wreszcie ze względu na nadmiernie wielką

liczbę bilonu tak metalowego jak papierowego, właściwym pieniądzem naszym stanie się nie bilet bankowy, czyli papier ufundowany, tylko moneta zdawkowa. Będziemy więc mieli dwa rodzaje pieniędzy: bilety Banku Polskiego i skarbowy pieniądz obiegowy, jakim jest moneta zdawkowa. Bilet bankowy utrzyma swój wysoki kurs zagraniczny, o ile Dyrekcja Banku Polskiego wytrwa w dotychczasowym systemie, ale ceny towarów wewnątrz kraju nie będą się stosować do biletu bankowego, tylko do bilonu. W tych warunkach hamowanie wzrastającej drożyzny przez dowóz z zagranicy przy pomocy pełnowartościowego pieniądza bankowego może doprowadzić tylko do zabicia własnej produkcji, która nie wytrzyma konkurencji zagranicznej.

Jest więc u nas niedobrze. Niewiadomo, jak się to zagadnienie rozwinie w przyszłości. I dlatego kapitał zagraniczny nam nie dowierza. Nie łakomi się na lichwiarskie oprocentowanie, dopuszczalne w Polsce, nie ryzykuje, tylko czeka. Ostatnia pożyczka amerykańska jest właściwie skandalem. Podpisano oblig na 50 miljonów dolarów na lichwiarski procent, poprzestano na uruchomieniu 25 miljonów i pozwolono na zafantowanie sobie z tej sumy trzech miljonów. Z wielkiemi przygotowaniami wybiera się do Ameryki minister Skrzyński. Dałby Bóg, żeby mu się wyprawa po złote runo powiodła. Wszelako, tak jak znam nieco umysłowość amerykańską, bardzo wątpię w skuteczność tej wyprawy. Trzeba u nas zmienić system gospodarki ekonomicznej, skarbowej, społecznej: całej gospodarki, to zaufanie odzyskamy. Inaczej szkoda zachodów.

Ale jest to ostatnia prawie próba. Położenie staje się coraz groźniejsze. A wszystko z tchórzostwa przed demagogją.

Tych, którzy składają roczniki „Myśli Narodowej", proszę niech sobie przeczytają mój artykuł pt. „Głos przestrogi" z marca 1924, aby zobaczyli że ten smutny stan można było przewidzieć z góry — dla innych zaś wyjaśnię w następnym numerze, w czem był ten brak odwagi cywilnej, który nas ciągnie do katastrofy. *Jan Zamorski.*

ŻYD KORESPONDENT.

Polityczni mężowie nasi głoszą, że warunki geograficzno historyczne, w których państwo nasze istnieć musi, nakazują nam żyć w dobrych stosunkach z Rosją i Czechami. Byłoby rzeczą płonną i wręcz szkodliwą ukrywać, że są czynniki przeciwdziałające tym dobrym stosunkom, należy raczej poznać dokładnie te czynniki, by móc je zwalczyć.

Pozwolę sobie dziś zwrócić uwagę na jeden szczegół. Byłoby niewątpliwie rzeczą pożądaną, by zamieszkujący obecnie Polskę emigranci rosyjscy poznali dobrze naszą ojczyznę,

zrozumieli nasze dążenia i naszą psychikę, wreszcie nawiązali przyjazne z nami stosunki. Doniosłą rolę odegrać by tu mógł jedyny dziennik rosyjski w Warszawie „Za Swobodu". Redakcja ma nawet, jeżeli się nie mylimy, dobrę w tym kierunku wolę, ale napotyka ona nieraz na poważne przeszkody.

„Za Swobodu" jest wprawdzie urzędowo organem emigrantów rosyjskich, ale faktycznie jak też obok tego w pewnej mierze organem i obywateli polskich narodowości rosyjskiej i mówiącego po rosyjsku żydostwa. Otóż te dodatkowe role gazety rosyjskiej utrudniają jej niewątpliwie spełnienie zadania głównego. Szczególnie odznaczają się pod tym względem korespondenci, czy też jeden z korespondentów wileńskich pisma, według wszelkich danych, żyd miejscowy.

Żyd przecież tylko wpaść mógł na pomysł szukania przyczyn gimnazjalnej tragedji wileńskiej w... antysemityzmie. W numerze z dn. 3 maja korespondent ten, podpisany tym razem jako „Iniczow" pisze: „Prasa narodowo-szowinistyczna wciąż rozżarza niechęci narodowe, wpaja w dusze dzieci uczucia nienawiści, zaraża słabe jeszcze organizmy dziecięce jadem nienawiści oraz partyjnej i narodowej zaciekłości..... Wilnianie bardzo często bywają świadkami, jak uczniowie-chrześcijanie z lada powodu, albo i bez powodu, wprost tylko dla zabawy, biją dzieci żydowskie i t. d. i t. d. To właśnie demoralizuje dzieci, kaleczy je, wychowuje w nich zwierzę, które ujawni się też wcześniej, czy póżniej, w tej czy innej formie".

W numerze z dn. 15 maja niepodpisany tym razem korespondent wileński bynajmniej nie w tonie sprawozdawcy, lecz zaciekłego przeciwnika pisze o wileńskim oddziale „Rozwoju" i o odczycie w tem towarzystwie red. Obsta o „Znaczeniu żydostwa w dziejach powszechnych", wypisując wprost niedorzeczności o ruchu, wznawiającym organizacje cechowe rzemieślników, „Cech — powiada — odradza się ze wszystkiemi znamiennemi właściwościami, majster dla otrzymania godności „majstra" zdawać powinien egzaminy; przewiduje się wznowienie instytutu „czeladzi" to jest takich robotników — wyrostków, którzy powinni przepracować u majstra conajmniej 3 lata, oczywiście za opłatą bardzo nizką, albo bezpłatnie, jak to było w dalekiej przeszłości. Mniejszości narodowe widzą w tych zmartwychwstałych organizacjach średniowiecznych zamaskowane przedsięwzięcia narodowe."

W ostatnich dniach zaraz po założeniu przez sen. Bohdanowicza i posła Kochanowicza (tego, co po pijanemu chwytał na dworcu warszawskim kawałki mięsa z cudzych talerzy) nowej gminy „starożytnie prawosławnej" w Wilnie, korespondent wileński, podpisany tym razem literami I-cz w numerze „Za Swobodu" z dn. 3 czerwca pisze z nieskrywaną niechęcią do autokefelji i z widoczną sympatją do inicjatorów nowej sekty.

K. n.

JUŻ ANI JEDNEGO ŻYDA.

Z okazji dymisji p. Normana Bentwich'a pisze żydowski „Hajnt“ z d. 8 b. m:

„Dymisja ta, w czasie, kiedy i Herbert Samuel opuścił swój urząd wysokiego komisarza Anglji w Palestynie, oznacza, że już niema ani jednego żyda na wyższem stanowisku w adminstracji Palestyńskiej. W czasie debaty palestyńskiej w angielskim parlamencie w r. 1923, oświadczył ówczesny minister kolonji, że w administracji Palestyny na najwyższych stanowiskach znajduje się trzech żydów: Herbert Samuel, Norman Bentwich i Solomon, oficer armji angielskiej, kierownik departamentu handlowego. Ten ostatni został usunięty ze stanowiska jeszcze w końcu 1923 r.“

Ani jednego żyda na wyższem stanowisku w administracji! Miły Boże, kiedyż Polska stanie się pod tym względem podobna do... Palestyny!!

TCHÓRZLIWA DEKLARACJA.

Drugorzędny poeta i dramaturg p. Ludwik Heronim Morstin zamieścił w ostatnim numerze „Wiadomości literackich“ (wydawcy: A. Borman i M. Grycendler) następującą deklarację osobistą:

„Choć zdaję sobie sprawę, jak małe to ma znaczenie dla literatury polskiej, składam rodzaj deklaracji, iż utwory moje będę drukował w każdym piśmie, które jest placówką kultury, a zechce mnie zaliczyć w poczet współpracowników — nie oglądając się na to, czy lewicowo, czy prawicowo jest zabarwione, czy mówią o niem, że jest wydawane za pieniądze masońsko-żydowskie, czy też, że finansowane przez episkopat polski“.

Gdyby chodziło tylko o to, w jakich pismach p. Morstin zamierza współpracować, możnaby spokojnie przejść do porządku nad powyżej przytoczoną deklaracją. Ostatecznie, każdy według smaku dobiera sobie towarzystwo. „Człowiek interesu“ pisze wszedzie, gdzie mu dobrze zapłacą, grafoman — wszedzie wogóle, gdzie zechcą jego rzeczy drukować. A zresztą, cała ta sprawa istotnie niezmiernie małe ma dla literatury polskiej znaczenie.

Ale p. Morstin nie miał odwagi postawić sprawy szczerze i otwarcie. Oświadczył tylko, iż gotów jest drukować swe utwory w każdem piśmie, „nie oglądając się na to, czy mówią o nim, że jest wydawane za pieniądze masońsko-żydowskie“. Tymczasem nie o to wcale chodzi, czy „mówią“ czy „nie mówią...“ P. Morstin w deklaracji, ogłoszonej w „Wiadomościach literackich“ (wydawcy: A. Borman i M. Grycendler) nie miał odwagi odpowiedzieć na proste pytanie, czy gotów jest współ-

pracować w piśmie, które jest wydawane za pieniądze żydowskie. A o to tylko jedno chodziło.

I dlatego deklaracja p. Ludwika Hieronima Morstina tak przykre, tak niesmaczne sprawia wrażenie. *j. r.*

KONCERT W PARYŻU.

Dyrektor Opery Warszawskiej, p. Emil Młynarski, udaje się do Paryża, by tam w czasie trwania wystawy dekoracyjnej dyrygować polskim koncertem reprezentacyjnym.

Nie jest to fakt drobny z punktu widzenia propagandy sztuki polskiej zagranicą. Przyjrzyjmy się więc zblizka programowi koncertu, ułożeniu prawdopodobnie z wielkim namysłem, a zaakceptowanemu przez jakieś ciało, które całe przedsięwzięcie finansuje.

Uderza nas przedewszystkiem dobór sił wykonawczych. Orkiestra, chór i dwie śpiewaczki należą do składu Wielkiej Opery Paryskiej (na szczęście jedna ze śpiewaczek, p. Alexandrowicz jest Polką). Dalej widnieją imiona: Paweł Kochański i Artur Rubinstein—obaj, jak wiadomo, żydzi. Kochański (Kohan, czy nawet Kohanow), jest niewątpliwie skrzypkiem utalentowanym, p. Rubinstein zaś, pochodzący z miasta Łodzi, należy do wybitniejszych przedstawicieli sztuki pianistycznej żydowskiej. Panowie Kochański i Rubinstein godnie reprezentują wartościowe pierwiastki swej rasy, ale cóż mają wspólnego z naszą rasą słowiańską? Czy mogą oni występować w roli przedstawicieli sztuki odtwórczej polskiej? A my, czy możemy wysuwać tych artystów na koncercie reprezentacyjnym? Czy wolno nam tą drogą przywłaszczać sobie niejako cudzą własność? Co pomyślą o nas żydzi: ależ ci Polacy nawet jednego koncertu urządzić o własnych siłach nie mogą! Bez żydów nawet w Paryżu pokazać się nie umieją!

Przed kilku laty na koncercie w Pradze Czeskiej wystąpiła jedna ze znanych śpiewaczek polskich i pewien pianista z młodszej generacji. Zostali oni powitani przemową, w której ze szczególną mocą podkreślono fakt istnienia sławnej plejady pianistów polskich, cenionych i wielbionych na całym świecie. Witający naszych artystów muzyk czeski wiedział o pianistach polskich, ale organizatorowie koncertu paryskiego nie znaleźli artysty, któryby poza żydem Rubinsteinem mógł sztukę polską reprezentować...

Dziwna rzecz, że żydzi tak uparcie dążą do ujęcia rządów w Polsce w swe ręce, gdy Polacy lepiej często dla nich pracują, niż oni sami. Przecież to nie żydzi organizowali ten żydowsko-polski koncert! Ani organizowali, ani z pewnością finansowali. Za popisy pp. Kochańskiego, Rubinsteina, a przy nich i E. Młynarskiego, my zapłacimy — z kasy miejskiej lub rządowej. *Y.*

ZŻYDZIAŁA KANDYDATKA NA MUZĘ

Kinematograf jest ciągle jeszcze u nas przedmiotem najsprzeczniejszych opinij. Zdobył już entuzjastycznych zwolenników, którzy jak np. p. Irzykowski pasują go na „dziesiątą Muzę“, ale ma też jeszcze zaciętych wrogów, odmawiających mu prawa do jakiejkolwiek styczności ze sztuką i stawiających go na jednym poziomie z cyrkiem. Ci ostatni, to najczęściej ludzie, znający kinematograf raczej ze słyszenia i zupełnie usprawiedliwiających ich opinję afiszów i reklam kinowych. Swe poglądy na kino opierają często na podstawie niejasnych wspomnień z przed lat kilkunastu, kiedy zniechęcili się gruntownie do „trzęsących“ filmów i stracili raz na zawsze ochotę do szukania w tym kierunku nowych wrażeń.

A tymczasem właśnie w ciągu lat ostatnich kinematograf przebył ogromną drogę rozwojową. Nie mam tu na myśli zdobyczy w zakresie techniki zdjęć i inscenizacji, choć na tem zwykle opiera się opinję o rozwoju kina. Owe słynne „gigantyczne“ filmy amerykańskie, mogą w widzu wzbudzić co najwyżej podziw dla olbrzymich środków materjalnych, jakiemi rozporządzają przedsiębiorstwa kinematograficzne, ale jeszcze nie usprawiedliwiają podnoszenia kinematografu do godności sztuki. Jeśli można dziś mówić o artystycznej wartości filmów, to odnosi się to niemal wyłącznie do pewnych eksperymentów (lub może już czegoś więcej, niż eksperymentów) które dają nam niektórzy reżyserowie, gardzący efektami technicznemi, a natomiast sięgający w głąb scenarjusza filmowego. Tematu tego dotykamy tu zresztą ubocznie, zaznaczając tylko, że eksperymenty te świadczą o ogromnych możliwościach artystycznych, kryjących się w formie wypowiadania się przez kinematograf, możliwościach, które w razie ich wyzyskania, wyznaczyć by musiały powstającej sztuce kinematograficznej istotnie odrębne i ważne miejsce w dziedzinie sztuk pięknych. Możność n. p. błyskawicznej zmiany kątów patrzenia, przedstawiania urywków myśli i t. d., i t. d. nie da się pomyśleć ani w słowie pisanem, ani na scenie. To też kto wie, czy przy dalszym rozwoju kinematografu w tym właśnie kierunku, rzeczywiście nie będzie on kiedyś w prawie zażądać dla siebie miana „dziesiątej Muzy“.

Tutaj jednak pragnę te interesujące dociekania estetyczne zostawić na boku, i zastanowić się nad kinem z innego punktu widzenia. Każdy przyzna, że kinematograf jest obecnie potężnym, bodaj czy po prasie nie najpotężniejszym środkiem propagandy i urabiania umysłów. Jako rozrywka tania i przystępna, zdystansował szybko teatr i stał się dla ogromnej ilości ludzi codzienną wprost potrzebą. Wystarczy zajść do jakiegokolwiek kinoteatru, nieodmiennie wypełnionego pu-

bliczności, by się o tem przekonać naocznie. Dlatego też, taktyka dąsania się na kino i przechodzenie nad niem do porządku dziennego jest już dziś nie do pomyślenia. Być może też, iż właśnie ta taktyka, stosowana dotąd przez ludzi, którzy mogli byli nadać kinematografowi właściwy kierunek, ułatwiła opanowanie go żywiołom, węszącym tylko interes materjalny i umożliwiła zużytkowanie kina dla celów propagandy — powiedzmy to odrazu—żydowskiej.

Gdy p. Irzykowski ogłosił w „Wiadomościach Grycendlerowskich" kino za dziesiątą Muzę, zapomniał dać imię tej nowej, jego zdaniem, towarzyszce mieszkanek Parnasu. Tak jako dziś rzeczy stoją możnaby mniemać, iż uczynił to... z obawy przed cenzorskim ołówkiem p. Grycendlera. W dzisiejszych bowiem warunkach imienia dla Muzy kinematografu trudno byłoby szukać w grzeczyźnie. Trzebaby raczej—chcąc być w zgodzie z rzeczywistością—sięgnąć do hebrajszczyzny, albo poprostu do żargonu. Takie zaś niebaczne odkrywanie kart nie byłoby zapewne przez przedsiębiorców „Wiadomości" mile widziane.

Maskarada nazw wytwórni filmowych i pseudonimów aktorów kinowych, nie dozwala na pierwszy rzut oka zorjentować się w rozmiarach opanowania kina przez żydów. Bliższe jednak wejrzenie w tę sprawę odsłoni nam rzeczywistość zastraszającą. Kilka lat temu, antysemicki tygodnik Forda „*The Dearborn Independent*" podał szczegóły zażydzenia filmowej wytwórczości amerykańskiej, która, jak wiadomo, dostarcza trzech czwartych pokarmu setkom tysięcy aparatów projekcyjnych na całym świecie. Według informacyj tego tygodnika, 85% produkcji filmowej w Ameryce znajdowało się w rękach żydowskich. Najpopularniejsze wytwórnie filmowe, jak „*Paramount Pictures Corporation*", „*United Artists Corporations*", „*Arcraft Pictures*" i t. d. — są własnością żydów. Z pośród żydów rekrutuje się również większość reżyserów, a nie lepiej jest i w świecie aktorskim. Charlie Chaplin, Horald Lloyd, Joe Weber, Ed. Wynne (Izrael Leopold), Robert Warwick, że wymienimy tylko tych kilka „gwiazd" kinowych— to żydzi. Podobne stosunki panują i w innych krajach. Gdy zaś jeszcze dodamy do tego, że i kino-teatry znajdują się bardzo często w rękach żydowskich, co możemy doskonale sprawdzić choćby u siebie w Polsce, to ogarniemy całokształt potwornego monopolu żydowskiego, sięgającego swemi mackami do każdej, najpodlejszej nawet mieściny.

Opanowanie wytwórczości kinematograficznej przez żydów wycisnęło swoiste piętno na jej charakterze. Wysiłki, o których wspominaliśmy wyżej, zmierzające do rozwinięcia obrazu filmowego w kierunku artystycznym, nie od wytwórni żydowskich pochodzą. Żydzi nie tracą czasu i pieniędzy na eksperymentowanie, bo w ich pojęciu kino jest przedewszystkiem dobrym interesem, a interes idzie najlepiej wówczas,

gdy się olśni widza wspaniałością wystawy i schlebia się jego najniższym instynktom.

Do nich należą t. zw. filmy „detektywne", które w gruncie rzeczy nie są niczem innem, jak znakomitą szkołą dla złodziei. Nie potrzeba już dziś szkoły złodziejskiej, jaką opisuje W. Hugo w „*Nôtre Dame de Paris*"; zastąpiło ją kino. które stało się akademją złodziejską w całem tego słowa znaczeniu. „Zasługi" kina żydowskiego na tem polu znane są zresztą może najlepiej szerszym kołom opinji. Dalej idzie pornografja. I o tem pisze się i mówi nie mało.

Są jednak i inne metody oddziaływania przez kino, służące bardziej bezpośrednim interesom Izraela. Bywalcy kinów musieli zwrócić uwagę na to, że nigdy na filmie nie przedstawia się żydów w świetle ujemnem, choćby tego niejednokrotnie wymagała prawda. To propaganda negatywna. Ilekroć natomiast zjawia się żyd na ekranie, to zawsze jako typ szlachetny. To znów propaganda pozytywna, która zresztą czasem przybiera formy bardzo naiwne. Niedawno w żydowskim kinoteatrze „*Splendid*" w Warszawie, wyświetlano obraz na tle stosunków w małem miasteczku w Polsce. Wszyscy żydzi byli oczywiście niesłychanie szlachetni i nie wiadomo z jakiego powodu prześladowani przez chrześcijan, oczywiście najgorszego gatunku łajdaków. Kończył się ten obraz małżeństwem córki rabina z młodym właścicielem majątku ziemskiego, Polakiem, bodaj czy nawet nie hrabią, który wyrzekł sie swego „niegodnego" społeczeństwa. Wzruszająca historja, nieprawdaż? Znakomity pokarm duchowy dla polskich bywalców kina...

Znamy jednak bardziej dyskretne formy tej propagandy. Weźmy np. głośny film „Dziesięcioro przykazań", reżyserowany przez „genjalnego" Cecila de Mille (z szlachecka brzmiące nazwisko „de" Mille nie powinno nas wprowadzać w błąd: kryje się bowiem w niem żyd amerykański, który zanim zaczął robić w kinie, pisywał żargonowe powieści). Rozreklamowany ten film, z głównym efektem „artystycznym" w postaci rozstąpienia się morza, jest w swej z dużym nakładem zainscenizowanej części historycznej, typowym przykładem analfabetyzmu żydowskich reżyserów, którzy potrafią z czystem sumieniem poubierać Egipcjan w stroje starogreckie. Zaczyna się od obrazów prześladowania żydów przez Egipcjan. Prześladowanie istotnie arcyniezwykłe, bo żydom każą na tym filmie przesuwać... sfinksy, naturalnie pod batami egipskich dozorców. Potem następują plagi na Egipcjan (sens moralny: nie prześladujcie żydów, bo spadną na was plagi). Wreszcie ucieczka żydów z Egiptu, ale tutaj nie zorjentował się „genjalny" Cecil de Mille, zbyt wiernie słuchając historji, bo prześladowani żydzi uciekają tak obładowani skarbami i bogactwami, że jednak widz nabiera pewnych wątpliwości co do tego, czy im tak źle było w tym Egipcie.

Takie niedociągnięcia propagandowe są nieuniknione u ludzi, którzy, jak powiada tygodnik Forda „hygjeniczne zajęcie roznosiciela gazet porzucili dla reżyserowania w kinie". To też pierwszem zadaniem obrony przed żydowskiem kinem powinno być prowadzenie w prasie codziennej sumiennych krytyk kinowych, któreby te niedociągnięcia i śmieszności wykazywały. Obecnie już niemal wszystkie pisma polskie wprowadziły dział kinowy, ale prowadzą go najczęściej w sposób mało poważny, bez zrozumienia doniosłości tej sprawy. Recenzenci kinowi, ulegając hypnozie żydowskiej reklamy, przeważnie chwalą wszystkie filmy, szczodrze szafując przydomkiem „genjalny". Bo też i ta produkcja genjuszów w świecie kinematograficznym jest nadzwyczajna! Od początku świata nie było tylu genjuszów, ile ich żyje obecnie pośród aktorów i reżyserów kinowych. Widocznie żydy postanowiły sobie na tem polu powetować brak genjuszów w innych dziedzinach. Wystarczy trochę pobłaznować, a jest się już „genjalnym" Charlie Chaplinem, któremu w „Wiadomościach Literackich" cześć religijną oddaje p. Napierski (prawdziwe nazwisko tego podhalanina brzmi... Eiger). Są nawet „genjusze" dziesięcioletni, jak nas o tem poucza Jackie Coogan.

U nas wytwórczość filmowa jest dopiero w zarodku, ale już stwierdzić trzeba, że żydki warszawskie potrafią godnie kroczyć śladami swych amerykańskich kolegów. Finansowana przez żydów wytwórnia warszawska, jako jeden z pierwszych filmów wypuściła „O czem się nie mówi" według Zapolskiej. Trzeba było przecież odrazu zakasować w pornografji zagranicę tym „polskim" filmem. Kazano więc p. Smosarskiej wywalczać oczyma łani sympatję dla prostytutki, której perypetje, nie wyłączając rewizji lekarskiej i wręczenia książeczki, przedstawiono na ekranie z całym realizmem, ciągle z sensem moralnym, że wszystkiemu winna jest policja i mężczyźni—ale taka dziewczyna i tak znajdzie w końcu sprawiedliwość, bo dobrze wyjdzie zamąż... Tak wyglądają w tej chwili—przepuszczane przez cenzurę Min. Spr. Wewn., obawiającą się posądzenia o zacofanie—filmy „polskie".

Ale jak już wspomnieliśmy, wytwórczość filmowa w Polsce jest dopiero w zarodku. Jeszcze byłby czas niedopuścić do całkowitego opanowania jej przez żydów. Piękne pole dla polskiej przedsiębiorczości i polskiego kapitału stoi otworem.

St. Janicki.

FRONT ANTYMASOŃSKI.

RYTUAŁY I ORGANIZACJE MASOŃSKIE.

Ktokolwiek interesował się masonerją, w badaniach swoich natrafiał zawsze na cały szereg zagadek, z których nie-

pośledńią była sprawa wzajemnego ustosunkowania się różnych rytuałów masońskich. Przypatrując się działalności różnych rytuałów można zauważyć, że niektóre z nich współpracują ze sobą. inne przenikają się wzajemnie, a niektóre nawet wprost się zwalczają, jednak w celach swych wszystkie rytuały są zgodne i występują przeciw wspólnym swym wrogom.

Różnica często polega również i w środkach działania, bo gdy np. jedne rytuały pracują nad przewrotom drogą rewolucji, jak to robił zasłużony dla rewolucji rosyjskiej „Memphis-Mizraim"' inne często przybierają pozór stowarzyszeń legalnych, posiadających na swym czele nawet panujących danego państwa.

Jak wiadomo pierwsza ustawa regulująca organizącję loży masońskiej została opracowana przez jednego z założycieli pierwszej Wielkiej Loży w Londynie, teologa Andersona jeszcze w r. 1723. Przewidywała ona tylko trzy stopnie, zwane później symbolicznemi lub świętojańskiemi, to jest stopnie ucznia, czeladnika i mistrza.

Angielscy emisarjusze i podróżnicy bardzo szybko rozszerzyli tę pierwotną masonerję, tak w Europie, jak i w Ameryce i w krótkim przeciągu czasu powstały loże: w Paryżu (1725), w Bostonie (1727), w Madrycie (1728), w Irlandji (1729), w Hadze (1731), we Florencji, Weronie i Wenecji (1732), w Rosji (1732), w Rzymie (1735), w Szwecji (1735), w Portugalji (1736), w Hamburgu (1737), w Dreznie (1738), w Berlinie (1740), w Austrji (1742), w Wiśniowcu na Wołyniu (1842), w Warszawie (1744), we Lwowie (1747) i t. d.

Jednak równolegle z tem rozkrzewianiem ustawy andersonowskiej różni awanturnicy, którzy przedewszystkiem zasilili szeregi masonerji, dla własnych celów — czy to dla tem większego wpływu na podwładnych, czy to dla ambicji—poczęli tworzyć nowe stopnie wyższe, lub nawet odrębne rytuały, uchylając się tem samem z pod władzy Wielkiej Loży londyńskiej. Zresztą sama Wielka Loża Londyńska przyczyniała się wielce do wywołania tego rodzaju apostazji, udzielając każdemu, kto tylko chciał, patentu na tworzenie loży. Często też kierownicy masonerji, chcąc nadać jej lokalne zabarwienie i zrobić ją jakby pod pewnym względem narodową, samowolnie zmieniali ustawę Andersona i wprowadzali nowe stopnie, wytwarzając w ten sposób jakiś nowy rytuał. Wreszcie nowe rytuały powstać mogły również z woli tych, którzy Andersonowi polecili ujawnić masonerję, a którymi zajmowałem się w artykule „Żydzi a masonerja" [1]).

Przybrana ojczyzna masonerji, Anglja nie ostała się również przed zamachami na ustawę Andersona. Zaraz w Szko-

---

[1]) Patrz Nr 18 „Myśli Narodowej" z dnia 2.V 1925.

cji postarano się o dodanie do trzech stopni, czwartego „szkockiego św. Andrzeja", nazwanego stąd, iż w Szkocji wielką lożę otwarto 30 listopada 1736, t. j. w dzień św. Andrzeja. W ten sposób zrobiono ustępstwo na rzecz wybitnie zarysowanego separatyzmu szkockiego. W Szkocji również około 1750 — 1754 William Mitschek założył „Królewski zakon Kawalerów Różanego Krzyża", podobny do masonerji, który później przedostał się do Niemiec, Francji i Polski.

W Anglji Lawrence Dermott w 1752 r, stworzył odrębną lożę „starych mularzy", o czwartym stopniu „Royal Arche" z odrębną ustawą i rytuałem, zwanym rytuałem staroangielskim lub Yorskim. Rytuał ten w niezmienionej formie zachował się dotąd, a należy doń wyłącznie arystokracja angielska.

Dalej do Anglji przedostał się z kontynentu rytuał t. zw. szkocki, który prócz nazwy nic wspólnego ze Szkocją nie ma. Rozpada się on jeszcze na trzy odmiany, pochodzące z różnych epok jego formacji i reorganizacji, a mianowicie na 15-stopniowy rytuał szkocki „filozoficzny", 25-stopniowy rytuał szkocki „starodawny czyli Heredom" i wreszcie najbardziaj rozpowszechniony i reprezentowany nawet w Polsce „rytuał szkocki dawny i uznany" o 33-stopniach.

Dzieje powstania tego rytuału są wedle „New England Craftman" [1]) następujące:

W r. 1754 w Kolegjum Jezuitów w Paryżu, zwanem Clermont, będącem schroniskiem ruchu jakobickiego, to jest emigracji stuartowskiej z Anglji, kawaler de Bonneville utworzył 25-stopniowy rytuał dla loży, do której weszli wszyscy emigranci, a nawet sam pretendent Karol Edward, tytułowany w loży „Roi d'Angleterre, France, Ecosse et Irlande, Substitut Grand Maitre du Chapitre de Heredom, connu sous le titre de chevalier de l'Aigle et du Pellican etc." Okoliczność ta nadała rytuałowi przydomek szkockiego, podczas gdy twórca nazwał go rytuałem Heredom, we Francji zaś od nazwy Kolegjum, w którem powstał, zwany był rytuałem Clermont. W r. 1758 rytuał ten markiz de Lernais przeszczepił do Niemioc, zakładając w Berlinie lożę „Des trois Globes". W tym samym roku ówczesna najwyższa władza masońska we Francji, „Conseil des Empereurs de l'Orient et de l'Occident" zreformowała go i uzupełniła dalszymi 8-stopniami. Nezależnie od tej reorganizacji we Francji, Fryderyk II-gi pruski, posługujący się masonerją do swych celów, w r. 1762 nadał rytuałowi szkockiemu nową ustawę i zmienił jego nazwę na „Rytuał Doskonałości" (Rite de Perfection), a w r. 1786 znowu

[1]) „New England Craftman devoted to the interests of Freemasonry" 1912 Nr 12.

mu zmienił ustawę, tym razem już definitywnie, na wzór francuski dodał mu 8 dalszych stopni i nazwę jego określił jako „rytuał szkocki dawny i uznany“ (Rite écossais ancien et accepté). Ustawa nadana rytuałowi szkockiemu przez Fryderyka II. przetrwała bez większych zmian do dnia dzisiejszego i nasze loże rytuału szkockiego dawnego i uznanego rządzą się wedle konstytucji nadanej ich poprzednikom przez Fryderyka II Wielkiego.

Wreszcie do Anglji przedostał się utworzony w r. 1756 we Francji 25-stopniowy Zakon Templarjuszów.

W Irlandji z biegiem czasu wytworzył się znów specjalny rytuał irlandzki o 15 stopniach.

Stosunek wzajemny tych rytuałów w Anglji dostatecznie charakteryzeje fakt, że ks. Connaught jest wielkim mistrzem lóż angielskich, protektorem trzech Wielkich Lóż (angielskiej, szkockiej i irlandzkiej), wielkim przeorem Zakonu Templarjuszów i protektorem „rytuału szkockiego dawnego i uznanego.‘

Z organizacyj jawnych, wyłonionych przez masonerję angielską i przez nią kierowanych, wspomnieć należy o „lidze Malthusa“, skierowanej przeciw licznemu potomstwu i „National education League“, popierającej bezwyznaniową naukę, oraz o założonej w Irlandji przez T. Wilsona czysto masońskiej organizacji t. zw. „Orangemen“ przeciw ruchowi wolnościowemu Irlandczyków.

Z drugiej strony organizacje wolnościowe Irlandczyków były również oparte na wzorach masońskich, zarówno „Ribbon Men“ (Molly maguire), jak i związek feniański, a także głośna z morderstw politycznych „Nationalland league.“

Asper.

Adres Redakcji i Administracji „Myśli Narodowej“: Al. Jerozolimska 17 tel. 11- 90. Godziny przyjęć: codziennie od 4—5 prócz niedziel i świąt.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pren. kwart. **3 zł.** Zagranicą kwart. **5 zł.**

Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **100 zł.** Konto cz. w P.K.O. №3105.

Skrzynka pocz. Nr. 150.

Redaktor: i wydawca: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. „A. Michalski“, sp. z ogr. odp. Warszawa, Chmielna 27. Tel. 27-15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.